

FRANCISZEK POŁOMSKI

MATERIAŁY DO SYTUACJI SEZONOWYCH ROBOTNIKÓW ROLNYCH W ŚLĄSKIM ROLNICTWIE KAPITALISTYCZNYM

Literatura naukowa zajmująca się problemem położenia mas pracujących jest niezwykle różnorodna i szeroka.

W szczególności zagadnienie robotników sezonowych w rolnictwie, jako jedno z najważniejszych w okresie imperializmu, ma swą bogatą literaturę. Niemniej jednak problem sezonowych robotników rolnych, jak dzieje mas pracujących w ogóle, jest przez nią traktowany tylko jednostronnie. Podstawowe źródła pochodzą od klasy posiadającej i aparatu państwowego. Najmniej bodajże posiadamy źródeł o położeniu śląskich robotników sezonowych, którzy stanowili element stosunkowo płynny i niestały, dlatego też były wśród nich szczególnie trudne do przeprowadzenia wszelkie akcje ankietowe. W rezultacie sytuację sezonowych robotników rolnych, ich warunki życia i stosunek do pracodawcy znamy tylko bardzo powierzchownie, i to wyłącznie ze stanowiska wielkiego właściciela.

Mając na względzie wspomniane luki źródeł i literatury, Zakład Historii Państwa i Prawa Polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego postanowił kompletować wiadomości, które w tej dziedzinie mogłyby okazać się pożyteczne. Sprawą była pilna, ponieważ jedynym dostępnym jeszcze źródłem do tego zagadnienia są wspomnienia ludzi starszych. Sytuację utrudnia tu jeszcze fakt niezwykle częstej i typowej dla ludzi starszych niepewności i niechęci do wypowiedzania się w słowie pisanym. W takich warunkach akcja prowadzona oficjalnie, np. przez prasę, może zapewnić tylko minimalne rezultaty, przy tym wątpliwe i mało wiarygodne.

Duże nadzieje rokowała tu droga wyzyskania bliskich, osobistych kontaktów z ludnością wsi górnośląskiej. Droga ta okazała się słuszna, niemniej jednak pociągnęła za sobą w pierwszym etapie naszej pracy skoncentrowanie publikowanych niżej wypowiedzi do terenu jednej wsi.

Wszystkie trzy udostępnione przykładowo wspomnienia pochodzą ze wsi Mszana w dzisiejszym pow. wodzisławskim. Jest ona oddalona o 8 km od Wodzisławia. Na miejscu znajdował się mały folwark o po-

wierzchni przekraczającej nieco 100 ha. Jego zapotrzebowanie na najemną siłę roboczą nie było zatem wielkie. Najbliższy zakład przemysłowy stanowiła kopalnia „Emma“ (dziś „Marcel“) w Radlinie. Już w XIX w. podkreślano istnienie w Mszanie stosunkowo liczny proletariatu i półproletariatu wiejskiego¹.

Publikując poniższe wspomnienia, zachowujemy w tekście terminologię (jutrzyna, stojok, cesarsko itp.) właściwą gwarze górnośląskiej. Poza tym tekst częściowo modernizujemy, ażeby uczynić go bardziej czytelnym.

Znaczenie publikowania poniższych wypowiedzi pozostawiamy ocenie czytelnika.

1

Julianna M. ur. 1878 r. w Mszanie.

Urodziłam się w r. 1878 we Mszanie. Wieś ta obecnie należy do nowo utworzonego na Górnym Śląsku powiatu wodzisławskiego. Będąc dzieckiem pasłam gęsi, a potem krowę żywicielkę. W r. 1884 zaczęłam chodzić do mszańskiej szkoły podstawowej, gdzie w tym czasie rektorem² był P. Uczyli nas po niemiecku pisać i czytać. Lata szkolne przeminęły mi bardzo szybko. O dalszej nauce nikt nawet wtedy nie śnił. Tatulkowie czekali jeno, kiedy się ze szkoły wyjdzie, żeby móc coś dla domu i siebie zarobić. Mimo to ukończyłam jednak *Oberklasse*³ i już latem 1892 r. po skończeniu nauki moja droga szła prosto na pola pana jegomości Schneidera we Mszanie, zwane przez ludzi Bożą Górą. Dla wszystkich, którzy mieli mało pola, było jedynym wyjściem iść gdzieś coś zarobić. A że na Bożą Górę nie było daleko i większość tych, którzy musieli pracować poza własnym gospodarstwem, tam do roboty chodziła, więc i ja tam poszłam. Miałam wtedy 14 lat. Niewiele w tym wieku mogłam zrobić. Wszystkim moim równieśnikom dali na pańskim lżejsze prace, jak stawianie kozłów itp. W roku następnym, tj. 1893, też jeszcze chodziłam na pańskie, gdyż na służbę⁴ byłam jeszcze za młoda.

¹ F. Triest, *Topographisches Handbuch von Oberschlesien*, Breslau, 1865, s. 790.

² Nauczyciel.

³ Oddział w szkole powszechnej, do którego uczniowie uczęszczali po ukończeniu 7 klasy.

⁴ Na służbę szło się zwykle do gospodarzy bogatszych na przeciąg jednego roku (od wiosny do późnej jesieni). Za służbę otrzymywało się utrzymanie, ubranie i wynagrodzenie pieniężne płacone zwykle z końcem terminu, na który zawarto umowę (zwykle ustną) o służbę.

Na pańskim płacili nam za robotę przez cały dzień 40—50 feników, a pracować trzeba było od rana do wieczora. Było to mało, bo jedzenie i przyodziewek trzeba było z domu brać. W domu zaś nie było najlepiej, bo mieliśmy wtedy 9 jutrzyn⁵ pola, a do stołu było nas 7 osób.

Z wiosną 1894 r. przyszedł do naszej chałupy jakiś nie znany mi człowiek. Chciał, żebym poszła do niego na służbę. Był to niejaki Molenda z Połomii, wsi tuż obok naszej. Rodzice zgodzili się na to i od tej wicsny zaczęłam służbę. Przez cały rok spełniałam wolę gospodarza i gospodyni. Robiłam to, co mi nakazali. Za pracę w ciągu całego roku dostałam 8 talarków⁶, zwanych także po śląsku twardymi⁷. Już samo to, że pieniądze dostawało się wszystkie o jednym czasie i jedzenie dostawałam u gospodarza, było korzystniejsze dla mnie i rodziny niż chodzenie na pańskie. Matka moja żałowała, że za tak marne pieniądze trzeba pracować, bo na sam ubiór trza było dać niewiele mniej niż 8 talarków. Chętnie przeto przyjęto w rodzinie propozycję i ja sama też się cieszyłam, bo inny gospodarz, do którego miałam iść na służbę w następnym roku, miał za roczną służbę zapłacić o 10 talarów więcej. Kiedy przypominam sobie te czasy, to widzę, że ludzie żyli bardzo biednie. Chleb był przysmakiem, a najeść się go do syta było rzadkością. Pamiętam, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, matka poszła do miasta Wodzisławia sprzedać ten kawałek masła, na który wszyscy spoglądaliśmy w domu zazdrośnie, i zdążyli z powrotem, a ojciec jeszcze nie zdążyli nakopać ziemniaków dla siedmioosobowej rodziny. Nie dlatego, żeby im się nie chciało, ale był nieurodzaj i ziemniaki były tak duże, jak końce palców. Nic więc dziwnego, że kto tylko mógł pracować z rodzeństwem, chwycił się za pracę, gdzie się dało. Dwaj starsi moi bracia, Józef i Jan, poszli na Sachsy, a ja do niejakego Parmy, gospodarza w Gorzycach, który przyrzekł, że zapłaci 18 talarów za rok służby. Czasy, kiedy w poszukiwaniu zarobku trafiałam do gospodarzy, były dla mnie bardzo ciężkie. Wstawałam pierwsza w całym obojęciu, cały dzień zajmowała mi praca, jaką wskazał gospodarz, a nie była to praca wcale łatwa.

W roku następnym (1896) byłam na służbie w Gorzyczkach (sąsiednia wieś Gorzyc) też u Parmy, brata poprzedniego gospodarza, u którego służyłam. Stało się to tak, że ci bracia porozumieli się między sobą i Parma z Gorzyczek chciał, żebym na przyszły rok poszła do niego na służbę, a nie do brata. Za te same pieniądze co w Gorzycach pracowałam w Gorzyczkach cały rok.

Marzyłam o tym, aby pojechać na Sachsy. Ludzie wtedy nazywali

⁵ Móg = 25,53 a.

⁶ Reichstaler = 3 marki.

⁷ Nazywano tak talary dlatego, że stanowiły bilon.

takie wyjazdy do pracy w majątkach rolniczych wyjazdami do świata albo na Sachsy. Przypominam sobie, jak zimą 1896/1897 przyszedł do naszej chałupy pewien człowiek. Pytał się, czy ktoś z naszej rodziny nie pojechałby na roboty polne na pańskich gospodarstwach koło Wrocławia. Obiecywał dużo więcej pieniędzy, niż zarabiałam na służbie u gospodarzy, więc po naradzie z rodzicami przystałam i człowiek ów zapisał mnie powiadając, że dzień wyjazdu i to, co mamy ze sobą zabrać, poda mi Wiktoria Wala⁸. Jak się później okazało, tym człowiekiem, który mnie zapisał na roboty, był stojok⁹ tego majątku, do którego miałam wyjechać wiosną 1897 r. Po wsi oprowadzała go jedna z tych, które już przedtem wyjeżdżały do świata. Wtedy był on jeszcze w wielu chałupach i pozapisywał dużo chętnych na wyjazd do robót. Stojok był wysłannikiem pana, właściciela tego majątku, do którego nas zapisywał. Mówił nam, jak długo będziemy musieli na dzień pracować, ile za to dostaniemy pieniędzy i że oprócz pieniędzy dostaniemy jeszcze coś do jedzenia, żebyśmy nie musieli wydawać pieniędzy na jedzenie. Najważniejsze było to, ile dostaniemy pieniędzy na dzień. Jak się dowiedziałam, że aż 8 czeskich¹⁰ mają płacić na dzień, to aż nie chciałam wierzyć. Pamiętam, ile to w domu było radości na samą myśl, że można zarobić 8 czeskich na dzień. Stojok był w każdej chałupie mile widziany. Miał on we wsi człowieka, któremu dawał znać, na kiedy ci wszyscy, co się u niego zapisali, mają się przygotować na wyjazd. Mieliśmy ze sobą zabrać: koc, miszkę, garnek, łyżkę i nóż. Jak nam owa W. Wala dała znać, że się mamy przygotować do wyjazdu, to we wsi zrobiło się gorąco. Byłam bardzo niespokojna, jak to będzie w tym świecie i czy aby to, co obiecał stojok, będzie prawdziwe.

Rano naznaczonego dnia wszyscy ci, którzy się zgłosili na wyjazd, podąжали piechotą, każdy z tobołkiem na plecach, na stację kolejową do Wodzisławia. Na stacji zebrało się nas bardzo dużo. Gromadziliśmy się według tego, do jakiego majątku się kto zapisał. Przy naszej grupie zjawiał się zaraz stojok, ten sam, który nas pozapisywał. Wykupił on dla nas bilety i opiekował się nami aż do przyjazdu na miejsce. Pociągiem bez przesiadania się zajechaliśmy aż do Wrocławia na *Oberschlesische*

⁸ Była to jedna z tych, które pośredniczyły w werbowaniu robotników sezonowych z terenu swojej wioski i sąsiednich wsi. W dalszej części tekstu znajdziemy wiadomość, że została wybrana „przodową“. Przodowa miała reprezentować całą grupę robotników sezonowych wobec właściciela dworu. Jej obowiązki nie były bliżej kreślone. Była jak gdyby pośrednikiem między władzą dworu a pracującymi tam robotnikami sezonowymi.

⁹ Ekonom, nadzorca prac polnych. Nazwa pochodzi od tego, że stał nad pracującymi i pilnował, aby prace szły sprawnie.

¹⁰ Przez „czeski“ rozumiano w okolicach Wodzisławia Śląskiego 10 fenigów.

*Bahnhof*¹¹. Zdziwiło mnie, dlaczego obok dworca stoi tyle furmanek. Przekonałam się, kiedy kazano nam na odpowiednie furmanki ładować swoje tobołki, że są one z majątku, do którego mamy jechać. Po jakimś czasie znalazłam się wraz z 16 koleżankami w Tschechnitz¹². Mieszkania dostałyśmy wszystkie w tak zwanym czeladniku, czyli budynku służącym za pomieszczenie dla czeladzi. Mieszkałyśmy po 8 w jednej izbie. Po przyjeździe dał nam stojok do podpisania „papier“, który nam przedtem głośno przeczytał. Tam było napisane, jak długo mamy pracować w ciągu dnia i ile nam za to zapłacać. Było tam jeszcze zaznaczone, że niedziele i święta są od pracy wolne. Każda z nas mogła sobie raz jeszcze to, co tam było napisane, przeczytać. Potem stojok powiedział: *Alle sollen sich hier unterschreiben* i wszystkie podpisałyśmy się jedna pod drugą. Było to w ostatnich dniach marca 1897 r. Od przyszłego dnia wszystkie musiałyśmy iść już do roboty. O godzinie 5 rano stojok budził wszystkich, którzy mieli wyjść do pracy na pole, gdyż o godzinie 6 wszyscy musieli być już na polu przy pracy. Od 11 do 13 była przerwa na obiad. Udawałyśmy się wtedy do czeladnika, aby sobie coś do jedzenia na obiad przygotować. Żeby to przyrządzenie za długo nie trwało, wysyłałyśmy spośród siebie zawsze jedną o godzinę wcześniej, żeby rozpałała ogień i nastawiła garnki z ziemniakami, które każdego wieczora przygotowywałyśmy — każda dla siebie. Na takie wysyłanie jednej spośród nas zgodził się stojok, ale to, co miała zrobić ta, która była godzinę wcześniej zwolniona, musiałyśmy za nią zrobić. Kiedy przyszłyśmy z pola, miałyśmy już ugotowane ziemniaki i resztę obiadu przygotowywała dla siebie każda z nas sama. O godzinie 13 już wszystkie musiały być w polu przy pracy. Pracowałyśmy aż do godziny 18 z półgodzinną przerwą na podwieczorek od godziny 15,30 do 16. Od św. Jerzego¹³ wolno nam było robić przerwę od 9 do 9,30 na śniadanie.

Zaraz po przyjeździe, a więc w końcu marca i na początku kwietnia, zbierałyśmy kije i kamienie z łąk i pól. Po zakończeniu tych prac pracowałam razem z innymi koleżankami ze Śląska na polu, gdzie była zasadzona wierzba. Z tej wierzby robiło się we dworze koszyki. Kiedyś pytałyśmy stojoka, na co pan jegomość tyle wierzby sadi. Powiedział nam, że pan takie głupstwa, jak koszyki niechętnie kupuje, a że ich dużo trzeba w gospodarstwie, więc założył własną uprawę wikliny. Jak zaczęły się prace w polu, to każda musiała tam pracować, gdzie ją stojok przydzielił. Najwięcej pracowałyśmy przy uprawie buraków cukrowych. Stojok wtedy wydzielał pas rządków, które każda dwójka obrabiała od

¹¹ Dzisiejszy Dworzec Główny.

¹² Siechnice (wieś w pow. wrocławskim).

¹³ 23 kwietnia.

początku do końca. We dwójki dobierałyśmy się same. Roboty w polu musiały być wykonane bardzo dokładnie. Jeżeli robiło się coś źle, to stojok wyzywał nas. Kiedyś podczas żniw przyjechał na pole pan jegomość, właściciel majątku. Zauważył on, że dwa kozły wystają z rzędów. Ze złości rozkopał pół rzędu i kazał nam go szybko postawić na nowo. Przy burakach pracowałyśmy wszystkie na akord. Zaś wszystkie inne prace w polu, jak np. w czasie żniw, płacono nam na dniówkę. Na dniówkę dostawałam 80 feników, na akord zaś w zależności od tego, ile się buraków wyplewiło czy wykopało. Chętnie pracowałyśmy wszystkie na akord, gdyż można było zarobić nawet przeszło dwie marki. Prócz pieniędzy dostawała każda z nas 8-funtowy bochenek chleba, 2 funty grochu albo kaszy, albo ryżu, 5 funtów mąki pszennej, koszyk ziemniaków, pół funta soli i 5 czeskich *Fleischgeldu*¹⁴. Prócz tego kosz węgla i drzewa na opał, gdyż gotowałyśmy sobie same. Za te 5 czeskich *Fleischgeldów* nie kupowałam mięsa, lecz dołożyłam sobie jeszcze 1 czeski i kupiłam 2 funty kielbasy. Do jedzenia nic więcej już nie kupowałam. Kawalek umasty posyłał mi z domu, byleby tylko nie wydawać zarobionych pieniędzy, gdyż w domu były one bardzo potrzebne na długi i podatki. W porównaniu z zarobkami na Górnym Śląsku to muszę przyznać, że zarabiałam dużo. We Mszanie i w okolicy u bogatszych gospodarzy ojciec zarabiał 50 feników na dzień za młócenie cepem od rana do wieczora. W Tschechnic pan jegomość kazał dla nas, tj. dla całej 16-osobowej grupy, wydzielić także małą działkę koło czeladnika, żebyśmy mogły zasadzić sobie ogórki lub inne warzywa. Nie miałyśmy jednak czasu tego obrabiać i odstąpiłyśmy to stojokowi, a on dał nam za to kilka razy ogórków.

Pieniądze i deputat wydawał nam stojok zawsze w sobotę po pracy. Z zarobionych pieniędzy potrącał nam 7 feników na ubezpieczenie, czyli tzw. *Versicherungsmarke*. Ten znaczek wklejał do książeczki ubezpieczeniowej, którą do końca roku przechowywał i dopiero przy końcu, krótko przed odjazdem nam wręczał. Niedziele i święta były przeważnie wolne od pracy. Raz, kiedy zanosilo się na deszcze we żniwa, pan jegomość i stojok chcieli, żebyśmy w niedzielę pracowały. Myśmy się jednak na to nie zgodziły, bo jak nam powiedziano, że w niedzielę i święta nie będziemy pracować, to nie będziemy, a Pan Bóg kazał dzień święty święcić i my go też będziemy święcić. Na to pan odrzekł, że się nam wystara u księdza katolickiego o pozwolenie na pracę w niedzielę. Kiedy jedna z nas, nie pamiętam która, takie zezwolenie od księdza przyniosła, to zgodziłyśmy się na pracę w niedzielę w czasie żniw, gdyby zagrażał deszcz, a stojok tego zażądał albo gdy się trzeba było śpieszyć z odsta-

¹⁴ Pieniądze przeznaczone na kupno mięsa.

wieniem buraków. W tym dworze, w którym ja pracowałam, uprawiali oprócz buraków bób, jęczmień, pszenicę, żyto i ziemniaki. Myśmy prawie przez cały czas pracowały przy burakach, a w czasie żniw przy żniwach.

Oprócz nas pracowali jeszcze robotnicy z Galicji, których nazywaliśmy Galicyjokami. Było ich 16. Wśród nich byli przeważnie mężczyźni. Pracowali prawie wszyscy przy wołach, którymi orali pole, zwozili buraki, zboże itp. Za swoją pracę dostawali mniej pieniędzy aniżeli my. Raz, kiedy nie chcieli wyjść w niedzielę do pracy, pokładli się na łóżkach i wtedy szaforz¹⁵ za to, że nie chcą iść do roboty, mocno ich pobili. Poszli przeto się poskarżyć do swojego opiekuna do Wrocławia i pan jegomość musiał zapłacić sztrofa¹⁶. Galicyjoki mieszkali w tym samym czeladniku, co i my, tylko w innych izbach. Zabraniano nam się z nimi spotykać i rozmawiać. Gdy stojok widział, że któraś z naszych dziewcząt z nimi rozmawia, to nas wyzywał.

Często w dni wolne od pracy chodziłyśmy do Wrocławia i tam kupowałyśmy sobie różne rzeczy, a w szczególności coś z odzieży. Do Wrocławia szło się piechotą około 2 godzin. W Tschechnitz mogłyśmy rozmawiać po polsku. Ze stojokiem rozmawiałyśmy jednak po niemiecku, gdyż udawał, że nie zna polskiej mowy. Wiedziałyśmy dobrze, że umie po polsku rozmawiać, gdyż, kiedy nas zapisywał na roboty, rozmawiał ze wszystkimi po polsku. Oprócz Galicyjoków i nas we dworze pracowali jeszcze chłopci, którzy w Tschechnitz mieli kilkunastojutrzynowe gospodarstwa. Oprócz nich pracowały często ich żony i dzieci. Za swoją pracę mogli obrobić własne pole wołami pana, a oprócz tego dostawali deputat. Z tego czasu, kiedy pracowałam w Tschechnitz, pamiętam, jak nam stojok przykazywał, żeby nikt samowolnie nie opuszczał majątku. „Gdyby ktoś chciał uciec, niech się liczy z tym, że go znajdziemy i z powrotem go sprowadzimy“ — mówił. Kiedy w mojej rodzinnej wsi kościół poświęcali, to prosiłam pana jegomością i stojoka, aby mi pozwolili pojechać na tę uroczystość do domu. Pan się nie zgodził, a stojok stanowczo zabronił komukolwiek wyjeżdżać mówiąc, że on za nas odpowiada. Stojok był dla nas wszystkim: był naszym bezpośrednim przełożonym, którego musiałyśmy słuchać, wypłacał zarobek, wydzielał żywność i opał. Przez cały czas pracy był z nami na polu i nadzorował, abyśmy odpowiednio i szybko wykonywały swoją pracę. Poza tym doręczał nam listy, które pisali do nas z domu. W okolicznych dworach pracowało dużo ludzi z moich stron i zdarzało się, że w niedzielę albo święta chodziliśmy się odwiedzać. Spośród siebie kazano nam wybrać tzw. przodową. Wybrałyśmy niejaką Wiktorię Wala. Pracowała ona już w tym majątku kilka

¹⁵ Rodzaj ekonoma, nadzorcy nad hodowlą i zatrudnionymi tu ludźmi.

¹⁶ Kara.

lat i zawsze była przodową. Moja współpracownica, z którą przez cały rok pracowałam, wyszła za mąż za Niemca z Gallowitz. Był on właścicielem 18-jutrzynowego gospodarstwa. Kiedyś jedna z moich koleżanek opuściła nagle folwark. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Później dowiedziałyśmy się, że była w ciąży i żeby uniknąć wstydu, uciekła z Tschechnitz. Pytałyśmy więc stojoka, dlaczego jej nie sprowadził z powrotem, skoro tak nam groził. Odpowiedział, że byłoby z nią więcej kłopotu niż korzyści.

Pracę we dworze kończyłyśmy w listopadzie, tak że na św. Marcina¹⁷ byłyśmy już w Mszanie. Z nami aż na miejsce jechał ten sam stojok.

Przywiozłam wtedy ze świata 80 talarków i około 3 cetnary takich towarów, jak mąka, groch, kasza oraz 25 funtów łoża, który kupiłam we Wrocławiu. Przed wyjazdem pisałam do domu, kiedy się mnie mają spodziewać. Gdyśmy przyjechały do Wodzisławia, na dworcu czekali już na nas rodzice. Ile to w domu było radości z zapracowanych pieniędzy i przywiezionej żywności.

Na Górnym Śląsku była wtedy rzeczywiście bieda.

2

Antoni S. ur. 1874 r. w Mszanie.

W tych czasach, kiedy ja byłem jeszcze małym chłopcem, kiedy chodziłem do mszańskiej szkoły podstawowej, w której nas po niemiecku gadać uczyli rehtory, był taki zwyczaj, że wszyscy ci, którzy chcieli zarobić jakiś grosz, już od wczesnej młodości chodzili na pańskie. Wtedy prawie w każdej wsi był dwór. Ci ludzie, którzy mieszkali w tej wsi, w której położony był dwór, pracowali u pana na tych samych warunkach co i ludzie spoza tej wsi. Komu wtedy z ludzi, którzy mieli kilka jutryn pola, starczyło na utrzymanie się i opłacenie wysokich podatków z tego marnego grosza, jaki przynosiła posiadana ziemia. Toteż regułą było, że prawie z każdej rodziny ktoś chodził na pańskie, żeby jakiś grosz przyznać do chałupy. Tam gdzie było więcej dzieci w rodzinie, a pola mało, to do pracy na pańskich polach chodziły dzieci szkolne w czasie wakacji. Rehtor w szkole ogłaszał tuż przed rozpoczęciem wakacji, że można iść na pańskie do pracy. Wtedy, kiedy ukończyło się szkołę powszechną, nie było mowy o dalszej nauce, bo nie było na to pieniędzy, a zresztą kto by utrzymywał takiego, który zamiast zarobić i przynieść do domu trochę grosza, jeszcze z niego wynosił pieniądze.

¹⁷ 11 listopada.

Nic więc dziwnego, że gdy się wyszło ze szkoły, to drugiego dnia szło się do roboty na pańskie.

Moje życie potoczyło się takimi torami, jakimi szło ono większości ludności na wsi śląskiej. Po opuszczeniu szkoły powszechnej pracowałem na pańskim, potem wyjechałem „do świata“ na roboty, a po przyjeździe, kiedy na Górnym Śląsku coraz częściej trafiała się praca, pracowałem w hucie, jak to ludzie wtedy nazywali, „na werkach“¹⁸. Mój tatulek mieli 18-jutrzynowe gospodarstwo. Te 18 jutrzyn nabył mój starzyk¹⁹ w czasach, kiedy pańskie pola można było na odpłatę od pana właściciela kupić. Pamiętam z opowiadań mojego starzyka, jak to było w czasach, kiedy panowała jeszcze pańszczyzna i ludzie z całej wsi musieli wychodzić do pracy na pańskie. Każdego dnia rano jeden z ludzi pana ze dworu szedł drogą przez wieś i oznajmiał ludziom, z czym mają przyjść do pracy. W zależności od tego, jakie narzędzia mieli ludzie zabrać ze sobą, wołał: „z grabioma“, „z widłoma“, „z cepoma“. Wtedy każdy musiał chodzić do roboty, bo w przeciwnym razie został oćwiczony różgami. Ludzie od świtu do późnego wieczora pracowali na pańskim, a swój kawałek roli obrabiali nocami. W tych czasach ludzie żyli gorzej od nas, bo myśmy chociaż za pracę na pańskim dostawali zapłatę.

Na pańskie do pracy zacząłem chodzić zaraz po ukończeniu szkoły podstawowej. Było to w r. 1888. Najbliżej, bo zaledwie 3¹/₂ km od wsi, był dwór, którego właścicielem był *Rittergutsbesitzer* Schneider. Tam pracowała większość ludzi z mej rodzinnej wsi. Zarabiałem w tym dworze 40 feników dziennie. W czasie żniw, kiedy pracowało się dłużej, pan kazał nam wypłacać po 10 feników więcej. Tak więc zarabialiśmy 50 feników dziennie. Do pracy szło się wcześniej rano gromadą. Wołaliśmy jeden drugiego, aby nie zaspać i aby nie spóźnić się do pracy. Jednak 40 feników za pracę od rana do nocy, to było bardzo mało, bo i człowiek się przydziać musiał, i wyżywić. W domu nie było grosza, toteż tatulkowie patrzyli na tych, którzy do pracy chodzili, kiedy do domu te pieniądze przyniosą. Nic więc dziwnego, że gdy się dowiedziałem o możliwościach wyższego zarobku we „świecie“, zdecydowałem się na wyjazd. Na roboty polne koło Wrocławia zapisywał agent. Był to wysłannik właściciela majątku, który namawiał ludzi na wyjazd i obiecywał wiele więcej pieniędzy na dniówkę, niż nam płacono we dworze na Bożej Górze. Było to zimą 1892 r. Na początku kwietnia jedna z dziewczyn, które pracowały w tym dworze, do którego miałem jechać, podała termin wyjazdu na 8 kwietnia. Dowiedziała się ona z listu, który pisał do niej stojok, że ma wszystkich zapisanych o tym powiadomić. Chodziła

¹⁸ Zakład przemysłowy, fabryka.

¹⁹ Dziadek.

wtedy do tych wszystkich zapisanych na wyjazd i oznajmiała, że na 8 kwietnia wcześniej rano mają być wszyscy gotowi do wyjazdu.

Owego dnia zebraliśmy się wszyscy, którzy byli zapisani do robót, i gromadnie poszliśmy do Wodzisławia na dworzec. Tam oprócz nas było jeszcze wielu innych, którzy tak jak i my mieli wyjechać tym samym pociągiem pod Wrocław do robót. Do Lohe²⁰ wyjechali wtedy oprócz nas ze Mszany jeszcze ludzie z Radlina, Wilchw oraz z Markłowic i Jedłownika, tak że wszystkich było nas 18. Każdy z nas, chłopców, miał walizkę zbitą z deseczek, w której pomieściliśmy garnek, łyżkę, misę, koc z poduszką i ubranie. Oprócz tego ubrania, które wiozło się w walizce, a które było przeznaczone jako ubranie robocze, miałem ubranie „niedzielne“. Obydwa te ubrania były zrobione z cajgu, najczęściej używanego wtedy materiału ubraniowego, który kupowało się w sklepie w Wodzisławiu. Aż do samego Wrocławia na *Oberschlesischer Bahnhof* jechaliśmy pociągiem, z tym że w Kandzierzinie²¹ przesiadliśmy się na inny pociąg. We Wrocławiu znalazł się jeden taki człowiek, który poinformował naszą grupę, gdzie czekają wozy wysłane z dworu w Lohe. Tymi wozami zawieźli nas aż na miejsce do majątku. Byli wśród nas i tacy, którzy już pracowali we dworze w Lohe i oni nam dużo na temat naszej przyszłej pracy mówili. Po przyjeździe do Lohe zajął się nami człowiek, który aż do końca tego roku i następnego był moim przełożonym w pracy. Był nim szaforz Stephan. Otóż ten szaforz wskazał nam nasze izby w czeladniku, w których mieliśmy zamieszkać. Przydzielono nam 2 izby. W jednej mieszkało 10 a w drugiej 8 osób. W każdej izbie był piec, na którym można było ugotować obiad. Takich czeladników było w Lohe 6. Zaraz po przyjeździe odczytano nam jakieś pismo, na którym mieliśmy się wszyscy podpisać. Dowiedzieliśmy się z niego, ile pieniędzy nam za robotę zapłacą i co oprócz pieniędzy jeszcze nam się należy. Na końcu było zaznaczone, że do roboty nas we święta i niedziele zmuszać nie będą. Ten „papier“ mógł sobie każdy jeszcze raz przeczytać — co zaznaczył czytający — żebyśmy sobie nie myśleli, że nas cygani i że takie rzeczy na tym papierze nie stoją. Potem wszyscy podpisywaliśmy się na tym samym piśmie.

Następnego dnia przydzielono każdego z nas do roboty. Chłopcy pracowali przy wołach i koniach, a dziewczyny w polu. Ci, którzy przy koniach i wołach robili, podlegali szaforzowi, a dziewczyny stojokowi. Ten stojok nazywał się Zorn. W naszym dworze nie było pana jegomościa. Zastępował go inspektor²². On kierował całym gospodarstwem. Raporty

²⁰ Słęża (wieś w pow. wrocławskim).

²¹ Tak nazywają starzy ludzie Kędzierzyn.

²² Zarządca majątku w zastępstwie właściciela, w którym nie przemieszkiwał właściciel.

odbierał od niego niejaki Felke, przekazując je szafarzowi i stojokowi. Wiedzieli oni z tych raportów, co mają w danym dniu robić. Z wiosny wszystkie woły i konie były używane do pracy przy oraniu pod zasiewy i przy sadzeniu ziemniaków. We dworze było 18 koni i 2 źrebaki oraz przeszło 30 wołów. Z końmi było jeszcze pół biedy, ale z wołami gorzej. Często w upalne dni kładły się na polu i ani rusz z miejsca. Ani prośba, ani groźba nie pomagały. Ale mieliśmy na nie sposób. Zapalaliśmy zapalkę przed nozdrzami i wtedy wół już stał na nogach. Dzień roboczy zoczywał się o godz. 6 rano, ale już o godz. 5 trzeba było wstać, by na tę godzinę być na polu. Od 11 do 13 była przerwa obiadowa. Od dnia św. Jerzego mieliśmy półgodzinną przerwę, od godz 9 do 9,30, na śniadanie. Od 13 znów wszyscy musieli być przy pracy. Dniówka kończyła się przeważnie około godz. 18.

Za tę pracę dostawałem na dzień 80 feników, a we żniwa, kiedy się dłużej pracowało, nawet 90 feników. Oprócz tego dostawał każdy 10 funtów mąki i 4 funty grochu oraz 30 feników *Fleischgeldu* na tydzień. Wypłata następowała zawsze w sobotę. Jedzenie wydzielał nam Felke naczyniem, które było wymierzone, tak że nikomu osobno nie ważył tego, co mu się należało. Z zarobionych pieniędzy inspektor pobierał 7 feników tygodniowo na opłacenie ubezpieczenia. Była to tzw. *Versicherungsmarke*, którą wklejał zarządca do książeczki. Przy odjeździe do domu każdy dostawał taką książeczkę.

Zapracowane pieniądze dobrze chowałem, a gdy miałem kilka marek uciulanych, posyłałem je do domu, tak jak to robili inni moi koledzy. W Lohe nie było urzędu pocztowego i aby nadać pieniądze do domu, chodziło się do Klettendorf-Hartlieb²³. Po polsku wolno nam było rozmawiać i Niemcy chcieli się koniecznie nauczyć polskiego języka. Pamiętam, jak mówili: *Anton, lern uns polnisch*, a ja każdego z nich uczyłem tego samego wiersza:

Kijem go, bijem go
Tego dziada starego.
Niech on patrzy różańca,
Nie z dziółchami do tańca.

Przy tej całej nauce było dużo śmiechu, gdyż nikt nie umiał wymówić słowa „dziada“. Chcieli się nauczyć po polsku, gdyż byli zaciągani do wojska w nasze strony. Poznałem tam takich, którzy służbę wojskową odbywali w Pszczynie i Gliwicach. Ale nie zawsze było tak wesoło. Kiedyśmy się nie mogli pogodzić albo jeden drugiemu wszedł w drogę, to nazywali nas *dumme Polen*. We dworze oprócz nas pracowali jeszcze

²³ Obecnie Wrocław—Partynice.

miejscowi ludzie z Lohe. Za swoją pracę dostawali pieniądze oraz deputat i mogli sobie obrobić pańskim zaprzęgiem pole. Prawie wszyscy mieszkańcy Lohe to byli dworscy pracownicy. Posiadali oni kilkunastojutrzynowe gospodarstwa, a oprócz tego wychodzili na pańskie roboty. *Gemeindevorsteherem*²⁴, a zarazem kowalem w Lohe, był w tych czasach niejaki Schmidt. Pracował on dla dworu: ostrzył lemiesz pługów, naprawiał narzędzia i maszyny. Robił on z inszpektorem tygodniowy obrachunek, według którego dostawał zapłatę.

Kiedy chcieliśmy sobie coś kupić do jedzenia, to szliśmy do sklepu z towarami kolonialnymi albo do jednego z dwóch rzeźników w Lohe. *Fleischgeld*, który zawsze w sobotę wypłacano nam, przeznaczałem na kiełbasę lub na łój, który był dość tani. Za funt łoja płaciło się akurat 30 feników. Ale za dużo człowiek sobie pozwolić z pieniędzmi nie mógł, bo każdy z nas pamiętał słowa tatulków „nie przejedź pieniędzy — szporuj”²⁵, a jak będziesz miał jaki grosz w kupie, pošlij du dom“. Wtedy w moich stronach ludzie naprawdę nie mieli pieniędzy, a jak listonosz przyniósł do chałupy to, cośmy zarobili i szybko do domu posłali, to było tyle płaczu od radości, że aż hej! Taki grosz wtedy ludzie opłakali. W naszych stronach nikt wtedy 80 feników na dniówkę nie zarobił. Za mlócenie od rana do wieczora u gospodarza płacili 40 feników, a niekiedy 50. A opłacać się trzeba było. Ludzie mieli wtedy różne długi, a i podatki były wysokie. Na polu nie rodziło się tyle co teraz, ludzie nie znali prószków²⁶ i dlatego były mniejsze zbiory. To, co się na polu urodziło, każdy z ludzi w większości musiał sprzedać na podatek. Wiem ja dobrze, ile wtedy płaciło się rozmaitych *Rentenbankrenten*²⁷, *Lehrergehaltsbeiträge*²⁸ czy też ubezpieczeń od ognia i zarazy, bo od 1 kwietnia 1900 r. aż do 1928, czyli równe 28 lat, byłem wybierczym²⁹ w gminie. Mój ojciec miał 18-jutrzynowe gospodarstwo i aż 34 marki płacił panom za własność tych 18 jutrzyn na rok. Ile kto płacił, zależało od tego, jakie kto pole kupił i ile tego pola było. Byli i tacy, co blisko 100-jutrzynowe gospodarstwa kupili, ale tych można policzyć na palcach jednej ręki. Te opłaty szły do banku we Wrocławiu. O ile się nie mylę, to pieniądze dawnym właścicielom spłacało się przez 56 lat i jeden miesiąc od ustawy, tak że koniec tych spłat przypadł na 1 grudnia 1908 r. Wtedy aż tak daleko było za groszem wyjeżdzać. Ja byłem stosunkowo niedaleko, ale

²⁴ Naczelnik gminy, sołtys.

²⁵ Oszczędzaj.

²⁶ Nawozy sztuczne.

²⁷ Długoletnie opłaty uiszczane przez chłopów w zamian za uwłaszczenie gospodarstw i zniesienie ich feudalnych obciążeń.

²⁸ Ciężar komunalny na utrzymanie nauczyciela we wsi.

²⁹ Inkasent podatku na terenie gminy.

ludzie jechali daleko na Sachsy, do Thüringen albo jeszcze dalej. Później nieco większość z tutejszych wyjeżdżało na roboty do Westfalii. Pracowali tam w kopalniach węgla i po dwóch albo trzech latach przyjeżdżali, a później znów jechali. U nas o Wrocławiu się jeszcze słyszało, ale o nazwach wsi daleko na Sachsach nikt nie słyszał, a jednak ludzie zdecydowali się jechać za groszem. W Lohe żyliśmy dobrze w porównaniu z możliwościami w domu. Ludzie tamtejsi byli do nas dość przychylnie nastawieni i dopóki nie pokłóciliśmy się z nimi o owo: *Halt die Fresse dummer Polak*, było wszystko dobrze. Często w polu, kiedy rozglądaliśmy się po okolicy, widzieliśmy ładne, wysokie budynki z wieżami i obiecywaliśmy sobie, że pójdziemy tam w najbliższą niedzielę na nabożeństwo. Myśleliśmy, że to są kościoły. Szaforz nasz powiedział nam: *Das ist doch keine Kirche, das ist ein Dominiumhaus!*. Zaraz z początku, kiedyśmy przyjechali, nie chcieliśmy iść do kościoła, bośmy nie rozumieli kazania w języku niemieckim. Na to jeden z Niemców, kiedy się dowiedział o tej przyczynie, powiedział: *Geht doch in die Kirche, der Herr Gott versteht auch polnisch*. Pamiętam, że w Lohe było wtedy tylko 10 katolików, reszta ludności zamieszkującej tu stale była ewangelikami. Katolikiem prócz kowala Schmidta i innych był także inszpektor.

Na jesieni odbywały się zawsze polowania. Wtedy prawie cała służba szła naganiać zwierzynę. Rąz szliśmy przez kukurydzę, w której było ukryte stado sarn. Jak zbliżyliśmy się do tego miejsca, gdzie były one ukryte, zaczęły uciekać we wszystkie strony. Koledze, który siedł obok mnie, wskoczył kozioł między nogi i przewiózł go przez kilkadziesiąt metrów na swoim grzbiecie. Wtedy tośmy się dobrze uśmiali. Na takie polowania przyjeżdżali różni panowie. Cieszyliśmy się, bo często taki pan dawał swemu naganiaczowi kilka czeskich mówiąc: *Hier hast Du zum Besten*. Oprócz tego, cośmy dostali na polowaniu, płacili nam normalną dniówkę. Tam w Lohe specjalnie dbano o zwierzynę. Opiekował się nią człowiek, którego *Jägrem*³⁰ nazywano. Zbierał on mrówcze jajka dla bażantów i kuropatw. Zwierzyna trzymała się w tzw. *Buschach*. Były to 4 albo 5-jutrzynowe kępy lasów rozsiane po pańskich polach. Z tych *Buschów* brało się też drzewo na opał, które co sobotę oprócz węgla i kosa ziemniaków wydzielał nam Felke. Pieniądze już po odtrąceniu składki na ubezpieczenie odbierała przodowa i każdemu z nas dawała. Każdy chciał jak najwięcej zaoszczędzić, żeby do domu jak najwięcej postać lub przywieźć. Nie kupiłem sobie roboczego ubrania, ale sam sobie łątałem potargane spodnie czy kabot³¹. Był między nami jeden taki, który nie szporował. Wszystkie pieniądze przejadł. Kupił sobie kiełbasy,

³⁰ Gajowy.

³¹ Marynarka, żakiet.

mięsa, i dobrze się odżywiał. Dziwiło mnie to bardzo, gdyż wiedziałem, że u niego w domu było tak samo, jak u każdego z nas. Kiedyś zapytałem się go, dlaczego nie oszczędza, powiedział mi: „człowiek, jak jest młody, musi się dobrze odżywiać, bo jak dobrze nie poje, to zakurzyńczy, że z niego żaden chłop nie urośnie“. Kiedyśmy później na dworzec w Wodzisławiu przyjechali i pokazywali swoim rodzicom, ile kto zarobił, to jego rodzice od żalu płakali, bo ich syn nic nie przywiózł. W Lohe prócz tamtejszych ludzi i nas pracowały 4 dziołchy i jeden chłopak z Rattwitz³². Oni też byli na zarobku tak jak i my. Myśmy tam z nimi się nie komunikowali specjalnie, bo oni robili osobno. Prócz nich we dworze robiły dwie stare Niemki. Nie pochodziły one z Lohe i mieszkały tak jak my w czeladniku. Nie dostawały one za swoją pracę deputatu, ale tylko 60 feników na dzień. Były to bardzo biedne kobiety. Te 60 feników nie wystarczyło im na wyżywienie i często chodziły do Wrocławia po krew bydłącą. Chciały one od nas pożyczyć pieniędzy, ale nikt im nie pożyczył, bo z czego by oddały. Najczęściej były one zatrudnione przy truciui myszy.

Pewnego razu nasze dziewczyny dowiedziały się, że w jakimś dworze można więcej zarobić niż w Lohe. Po cichu postanowiły się zebrać i przejść do tego dworu w nocy. Jeden z naszych ludzi doniósł to inszpektorowi, który nam zabronił gdziekolwiek się przenosić. Mówił, że jak uciekniecie, to my was znajdziemy i będziecie musieli dalej pracować, boście podpisali kontrakt, a za to, żeście uciekali, potrąci się wam *Reisegeld*³³ z zarobku. Ten, który to doniósł, dostał od inszpektora dużo pieniędzy na lepszo za to, że przyszedł i o tym mu powiedział. W niedzielę i święta, kiedy mieliśmy wolne dni od pracy, często chodziliśmy do Wrocławia oglądać sobie kościoły albo też, gdy ktoś z naszych coś kupował, to szliśmy wszyscy z nim. Wracając kupowaliśmy czasem kawał chleba, aby karmić ryby w fosie miejskiej. Mieliśmy z tym wiele uciechy. Pamiętam dobrze tę wieś, gdzie przez dwa lata pracowałem. Obok drogi prowadzącej do Wrocławia stał krzyż z napisem: *Zum Andenken an die glorreichen Kriegsjahre 1866, 1870—1871*. Za wsią Eckersdorf³⁴ był jeszcze jeden krzyż. Postawiono go na mogile trzech dziewczyn. Pochodziły one z naszych stron i kiedyś przy suszeniu siana pokłóciły się o jednego Niemca, aż doszło do bójki. Widłami, pozabijały się. O tym opowiadali tamtejsi ludzie. Na krzyżu były wypisane ich nazwiska. W tym dworze w Lohe siano bardzo mało żyta. Całe łąny były zasiane pszenicą i jarym jęczmieniem. Sadzono też dużo ziemniaków oraz buraki cukrowe, cykorię i rzepak. Łąki kosilo się maszynami, które ciągnę-

³² Ratowice (wieś w pow. wrocławskim).

³³ Pieniądze przeznaczone na zapłacenie przejazdu.

³⁴ Biestrzyków (wieś w pow. wrocławskim).

ły konie. Po żniwach odwoziliśmy furmankami do *Getreidehandlung*³⁵ we Wrocławiu dużo zboża, tak jak na jesieni większość buraków odwoziło się na stację kolejową, gdzie były ładowane na wagony. Za domem też się nam tęskniło i czekaliśmy tylko, kiedy zakończą się roboty polne. Po św. Michale³⁶ nie było już przerwy na śniadanie, ale od tego mniej więcej czasu czekaliśmy tu z niecierpliwością na koniec robót w polu. Kiedy było już wszystko w polu porobione albo chwycił mróz, że nie można było w polu robić, to za część pieniędzy kupowaliśmy jakieś ubranie, a resztę zaoszczędzonych pieniędzy przywoziliśmy do domu, gdzie były one bardzo, a bardzo potrzebne.

3

Ludwik P. ur. w 1882 r. w Mszanie.

Na roboty do świata wyjechałem w 1900 r. mając 18 lat. Wtedy było już tak przyjęte, że kto chciał jakiś grosz zarobić, ten musiał się oglądać za zarobkiem poza naszymi stronami. Przeważnie jeździli wtedy na roboty pod Wrocław do wielkich dworów. Jak opowiadali ci, którzy już tam byli i zawsze późną jesienią z powrotem przyjeżdżali, były tam wielkie dwory i tam można było więcej pieniędzy zarobić niż u nas. Mój ojciec, żeby zarobić, chodził „na cesarsko”³⁷ do Karwiny cegłę robić, bo trzeba było wyżywić 11-osobową rodzinę. Mieliliśmy wtedy 7,5-jutrznynowe gospodarstwo, a jak wiadomo, to było o wiele za mało, żeby móc wyżywić tyle osób. Na polu rodziło się wtedy znacznie mniej, ludzie nie uprawiali tak dobrze pola, jak robią to teraz. Żur i placek pieczone na blasze³⁸ to było codzienne jedzenie. Jak się szło do szkoły, to piekło się placek na blasze, na który trzeba było sobie najpierw na żarnach namleć mąki. Trzewiki po raz pierwszy dostałem, jak szedłem pierwszy raz do szkoły. Chleb był u nas na stole w niedzielę, a mięso w wyjątkowych wypadkach. Około 1890 r. w naszych stronach zapanował nieurodzaj. Nakopaliśmy wtedy mniej ziemniaków, niż wysadziliśmy. Wtedy nie było człowieka, który nie miałby długów. Za robotą trzeba było iść daleko w świat. Budowa kolei czy drogi — to była robota, gdzie się mogło coś zarobić. Cóż jednak z tego, skoro wypadki takie zdarzały się od czasu do czasu, a chętnych do takiej pracy było o wiele za dużo. Kiedy byłem jeszcze chłopcem i pasłem krowę, to pamiętam, jak z tego

³⁵ Przedsiębiorstwo hurtowego handlu zbożem.

³⁶ 29 września.

³⁷ Chodzi tu o część Śląska znajdującą się pod panowaniem Austrii.

³⁸ Płyta kuchenna.

żuru bolały mnie wewnątrzności, że nie mogłem wytrzymać. Musiałem już pracować, kiedy chodziłem do szkoły. Jak rektor ogłosił w szkole przed wakacjami, że pan na Bożej Górze we Mszanie potrzebuje ludzi na pańskie do pracy, to poszedłem. Byłem wtedy mały i słaby, ale co było robić. Nie tylko ja, ale inni także chodzili na pańskie, mając tyle lat. Moje starsze siostry już wtedy wyjeżdżały na roboty pod Wrocław. Ludzie wtedy mało czytali. We wsi tylko niejaki Szymura brał gazetę „Nowiny Raciborskie“.

Kiedy zimą w 1900 r. przyjechał do mojej siostry stojok, aby znowu werbować, ja zapisałem się także. Potem dał on znać do mojej siostry, kiedy mamy szykować się na wyjazd. Było to zwykle pod koniec marca lub na początku kwietnia. Szły wtedy dziewczyny z koszami z wikliny na plecach w stronę Wodzisławia. Chłopcy mieli walizki. Kiedy zebrałiśmy się w Wodzisławiu, to był nas cały pociąg. W Wildschau³⁹, bo tam pojechałem na roboty, spotkaliśmy się z dużą grupą robotników, którzy tak samo jak my przyjechali tu na zarobek. Byli to ludzie pochodzący z Galicji i nazywani przez nas Galicyjokami. Z ich opowiadań dowiedziałem się, że większość z nich pochodzi spod Przemysła i też tak jak i my musieli wyjechać do światu, bo ziemia, którą mieli, nie mogła ich wyżywić. Często między nimi przebywałem i dowiedziałem się ciekawych rzeczy od nich. Ciekawiło mnie, jak oni się tu dostali, kto im powiedział, że tu mają na roboty przyjechać. Z ich opowiadań dowiedziałem się, że ten Przemysł to bardzo daleko od Wrocławia. Do pracy w majątkach werbował ich agent, który wszystkich chętnych zapisywał. Opowiadali, że oprócz nich, a było ich w Wildschau 30, przyjechało jeszcze dużo ich rodaków, tylko że są oni porozrzucani po różnych dworach koło Wrocławia. Z Galicji nie wyjeżdżali tylko młodszy ludzie, nieżonaci, jak to było przeważnie u nas na Śląsku, ale często spotykało się ojca ze swoimi dziećmi. We Wrocławiu na stacji, gdy wysiedli z pociągu, którym przyjechali, zostali przydzielani do rozmaitych dworów. Często było tak, że ojciec pracował gdzie indziej, a dzieci też gdzie indziej. Często, choć pochodzili z tej samej rodziny i przyjechali tym samym pociągiem, nie wiedzieli o sobie nawzajem ani gdzie się znajdują, ani jak im się powodzi.

Tak było i w Wildschau. Gdy im powiedziałem, że umiem po polsku pisać, prosili mnie, abym napisał do ich rodzin pod Przemysł. Ja chętnie się na to zgodziłem. W listach tych dowiadywaliśmy się o adresy krewnych i bliskich tych Galicyjoków, którzy byli w Wildschau. Po pewnym czasie dostawali oni listy z domu, w których były adresy ich najbliższych. Kiedy znajdowali się niedaleko, to szli ich odwiedzać. Jeśli zaś pracowali

³⁹ Wilczków (wieś w pow. wrocławskim).

w dworach dalej położonych od naszego, pisałem do nich listy. Ci ludzie z Galicji, którzy byli w Wildschau, nie umieli pisać albo pisali bardzo słabo.

Ja w Wildschau miałem lepiej od innych moich kolegów. Zostałem bowiem przydzielony do pracy w stodołach, ale za to musiałem się stać na każde zawołanie pana. Nazywał się Peter Sohn. Wzywał mnie, abym tłumaczył jego słowa Galicyjokom, którzy nie znali języka niemieckiego. Mieszkałem razem z moimi kolegami z Górnego Śląska w jednej izbie. Koledzy ci pracowali przy koniach albo przy wołach, zaś nasze dziewczyny przeważnie przy uprawie buraków cukrowych. Prócz buraków uprawiano jeszcze w Wildschau pszenicę, owies, żyto, ziemniaki i rzepak. Ja przez cały czas pracowałem na dniówkę, ale inni, którzy pracowali w polu, a szczególnie dziewczyny, pracowali często na akord. Bywało tak, że wstawały o 3 rano, żeby więcej zrobić i przez to więcej zarobić. Najczęściej było tak, że ludzie z Górnego Śląska pracowali osobno, Galicyjoki osobno i Niemcy z Wildschau też, osobno. Z tymi ostatnimi dość często kłóciliśmy się, bo nas przezywali *dumme Polen*. Kiedy rozmawialiśmy głośno po polsku, mówili nam: *Ruhe polnische Bande im deutschen Lande*. Kiedy już tego było dość, szliśmy do pana ze skargą na nich, ale on nam tylko powiedział, że nas tak nie mogą nazywać, gdyż jesteśmy takimi pracownikami, jak i oni. Pan swoje, a Niemcy dalej nazywali nas głupimi Polakami. Na dniówkę płacono nam 80 feników. Prócz tego dostawaliśmy 6-funtowy bochenek chleba, 2 funty kaszy albo grochu, około 3 funtów mąki oraz przeszło 25 feników *Fleischgeldu*.

Kiedy wyjeżdżaliśmy pod koniec listopada do domu, to pan prosił, abyśmy wszyscy do niego znowu na przyszły rok przyjechali. Ja znalazłem sobie pracę blisko domu i już więcej do świata nie pojechałem.